

Włodzimierz Kamiński

(ur. 1 II 1918 w Kijowie. Syn oficera Wojska Polskiego Bronisława i Agaty z d. Michelson, zamieszkały w Londynie).

W 1939 roku byłem w korpusie kadetów w Rawiczu. Wakacje spędzałem u mojej matki w Krotoszynie. Pod koniec sierpnia, gdy już czuło się bliskosc wojny, spakowaliśmy co się dało (srebra, porcelanę) i zawiozłem mamę do jej rodziny do Łodzi. Sam pojechałem do ojca do Warszawy.

Wybuchła wojna. Ojciec miał kartę mobilizacyjną na 2 września do 36 pułku piechoty na Pradze. Zgłosił się tam. Powiedzieli, że karta jest przedawniona. Chcieliśmy dołączyć do wojska. Poszliśmy na Cytadelę. Ja i mój kuzyn Lolek (Leon Dąbrowski) jako kadeci otrzymaliśmy rozkaz: jechać do Lwowa. Komendant Cytadeli, pułkownik *Aleksandrowia* *V*powiedział ojcu: niech pan jedzie z synem. Sprowadziliśmy dziadków do naszego mieszkania na Mokotowskiej. Spakowaliśmy plecaki - ojciec, Lolek i ja i 7 września razem z Muszką (Marią, drugą żoną mego ojca) ruszyliśmy do Lwowa. Pociągami z dworca Głównego. A tu naloty! Pierwszy był za Wawrem, drugi koło Otwocka.

Jechał pociąg za pociągami: osobowe, towarowe. Jedna, nieprzerwana linia. Czasami staliśmy godzinami.

Dojechalismy do stacji węzłowej Rejowiec, a stamtąd dalej, na Łuck. 17 września dotarłismy do Równego. Rano gruchnęła wieść, że wchodzi bolszewicy, żadne pociągi już nie szły. Wzięliśmy więc ze sobą jeszcze jednego kadeta i do koszar. Byliśmy w mundurach, z rewolwerami przy pasach. Dowództwo było zdezorientowane. Krążyły pogłoski, że będzie umowa pokojowa z Ruskimi, że zaraz dołączymy do transportu na Łuck itd. A już w mieście pojawiła się moc żydów z czerwonymi sztandarami. Było wśród nich też trochę Ukraińców, niewielu polskich komunistów.

W koszarach wpakowali nas na ciężarówki (większość wojskowych, trochę osób cywilnych) i ruszyliśmy na Łuck. Po drodze spotkaliśmy już czągi sowieckie. Zatrzymali nas na pewien czas. Zaczęły się rozmowy. Wojsko w strasznym stanie. Mundury mieli pobrywane, piasezce nieobrobione. Karabiny na sznurkach. Chodzili wśród nas i pytali tylko: "Imiejetie czasy?"

Nie rozbroili nas, ale zawrocili.

Słyszelismy, że gdzieś toczyły się walki z Sowietami, ale w pobliżu było spokojnie. Rosjanie rozpuszczali pogłoski, że idą nam na pomoc.

Znaleźliśmy się znow w Równem. Trzeba było tam siedzieć, bo ci, którzy na własną rękę usiłowali wracać do Polski centralnej, często wpadali w łapy band ukraińskich. Jeśli uchodzili z życiem, wracali do nas pobici, czasem tylko w samych kalesonach.

My jednak zdecydowalismy się wywiać z Równego, bo dowiedzieliśmy się, że idą jakieś pociągi na Wilno, gdzie była siostra macochy. Ponieważ milicja (żydzi i Ukraińcy z czerwonymi opaskami) wyłapywali i zamykali wszystkich mundurowych, więc pozrywaliśmy naszywki. Bron wsadziliśmy do komina w koszarach, a pamiątkową szablę ojca złożyłem u stóp komendanta koszar, pułkownika, który zresztą niebawem popełnił samobójstwo.

W Wilnie zaczęliśmy pracować. Kolegę kadeta, który razem z nami podróżował, jeszcze Litwini zamknęli w więzieniu na Łukiszkach. Już bowiem za rządów litewskich w Wilnie zaczęły powstawać tajne organizacje polskie. I on dołączył do takiej jednej, w której prowadzono kartotekę. Dlatego wpadł.

My z Lolkim mieliśmy kontakt z inną, lepiej zakonspirowaną grupą. Dali nam nawet rewolwery. Ukryliśmy je dobrze na Jagiellońskiej pod schodami domu, w którym mieszkaliśmy. Czekaliśmy aż powstanie jakiś zorganizowany ruch oporu.

Część tych organizacji przetrwała nawet wejście Rosjan. Nasza zajęła się przerzucaniem ludzi przez Litwę do Szwecji a stamtąd do Anglii. Przysyłano nam paszporty, a my zmienialiśmy fotografie. Mieliśmy nawet fałszywe pieczętki. Tą samą drogą przesłaliśmy sztandar, który kobiety wileńskie utkały dla lotników polskich.

Najpierw pracowałem przy budowie kolei w Trokach, a gdy tam skończyła się praca, część pracowników, a z nimi ja, wyjechałem do Kozłowej Rudy za Kownem, też na budowę linii kolejowej. Tam musiałem się już zapisać do związków zawodowych. Budowaliśmy jakąś bocznice kolejową przez lasy, a ponieważ używany byłem także jako goniec, więc biegałem wzdłuż całej linii i widziałem jak Rosjanie budowali wielkie drewniane schrony. Potem je demontowali i gdzieś wysyłali. To były przygotowania do wojny z Niemcami.

Potem wróciłem do Wilna. Lolek podrapał pracę przy wyrębie lasu, a ja jako betoniarz - na budowie. Wzięli nas na początku czerwca 1941 roku. Tego dnia wszystkie ulicze w Wilnie pełne były ciężarówek i brali, brali. Wydawać by się mogło, beznadziejnie, ale jednak mieli rozeznanie, bo wszystkich nas, całą rodzinę wzięli choć pracowaliśmy w różnych miejscach. Nie wiedzieli jednak, że ojciec jest oficerem, a my - kadetami. Na szczęście.

Ojca wzięli pierwszego. To było koło południa. Mnie zawiadomiono o tym błyskawicznie, a ja poszedłem ostrzec Lolka. Idę, a tam przed bramą zakładu już stała ciężarówka. Zatrzymałem się, a oni do mnie. Ktoś musiał wskazać. Wojskowi z bagnietami (i jedno cywil) zawieźli nas do domu. Pozwolili się nam spakować i z powrotem na ciężarówkę. I do Wilejki. Była tam stacja towarowa. Stary pociąg, jeden koło drugiego, a samochody tylko przychodziły i odchodziły.

Do naszego wagonu wpakowali 44 osoby. Początkowo było nawet więcej, ale część mężczyzn wywozili. Bez żadnego klucza.

Byli tam Polacy, Żydzi, Litwini - w wieku od portora roku do sześćdziesięciu kilku. Kogo pamiętam z wagonu: ojciec, Lolek, ja, starszy wachmistrz, porucznik i pewnie młody Litwin. Reszta to kobiety i dzieci.

To były towarowe wagony, z tym, że okienka na gorze miały zakratowane. Jedne drzwi miały zostawioną szczelinę, przez którą wystawiona była rynienka do załatwiania się. Zrobiliśmy więc małą osłonę ze względu na kobiety. W grodku były prycze.

Czasami pociąg zatrzymywał się w polu, gdzie wypuszczano nas dla załatwienia się (tylko pod wagonami). W czasie tego zbiorowego srania można się było różnych ciekawych rzeczy dowiedzieć. My na przykład dowiedzieliśmy się, że tym samym pociągiem jedzie macocha i ciotka, że nas tak zupełnie nie rozdzieliłi.

Na tych postojach nikt nie próbował wiać, bo pilnowaali "bojce" z karabinami, a na obu końcach pociągu były platformy z cekaemami. Czasami na stacjach dawali chleb i dwa czy trzy razy zupeł. No i wodę, ale nigdy nie wiadomo było czy dadzą dwa razy dziennie, czy w ogóle nie. Ale naczyń w ogóle nie dawali. Braliśmy w to, co kto miał ze sobą. Zdarzało się też, że na stacjach wypuszczali po kilka osób z wagonu po "kpiatok".

W drodze nikt właściwie nie chorował, ustawały choroby, na które ludzie przedtem cierpieli. Z nerwow. Kobiety nie miały miesiączki. Ludzie płakali, rozpaczali, ale myśmy trzymali się niby.

W zasadzie była między nami solidarność. Chleb zawsze dzieliliśmy sprawiedliwie. Ale rozmawiało się bardzo ostrożnie. Bez zbytniego zaufania. Z tym, że pewne rzeczy wyczuwało się. Na przykład wojskowi rozpoznawali się bezbiednie.

W drodze dowiedzieliśmy się o wybuchu wojny. Przypadkiem. Ktoś, idąc po "kpiatok", zobaczył kątem oka w gazecie.

Jechaliśmy w sumie trzy tygodnie - przez Ural, koło Barneuru, Tomską aż do Rubcowki w południowej Syberii. Tam wyładowali nas na plac i kazali ustawić się według zawodów. Kierownicy kocichozów i

sowchozów chodzili i wybierali sobie ludzi. Kobiety przeważnie podawały się jako krawcowe. A więc poszły pracować do lasu. Nas wzięli do II oddziału sowchozów do buraków cukrowych, bo podaliśmy, że jesteśmy cieśle. Potem major wygłosił przemowę, z której najlepiej zapamiętaliśmy zdanie: "zít' budiesz, no jebat' nie zachociesz".

I rzeczywiście. W baraku na sąsiedniej pryczy, bliźutko (przejście między pryczami: 30 cm) była dziewczyna, młoda, chyba ładna. Ale mnie to zupełnie nie interesowało. Człowiek był skonany i myślał tylko skąd jutro zdobyć ziemniaki.

Do pracy wychodziło się o 6 rano. O 12 przyjeżdżała zupa (woda z kapustą). Dawali po jednej chochli za którą trzeba było płacić 40 kopiejek. Czasami gromko obwieszczali: "dzisiaj zupa z mięsem". I coś tam wtedy piwowało.

Kończyło się pracę około 5 po południu. Wtedy można było pójść do "ławoczki" (sklepiku) kupić chleb, bo tam już mieli odnotowane kto był w pracy. Lepiej jak był czarny chleb. Kiedy zaczęli przynosić biały, ludzie kięli, bo był mniej pożywny.

Robiliśmy sobie coś w rodzaju marmolady z buraków. Każda izba w baraku miała piec i na nim się coś pichciło. U nas - w miednicy, którą gdzieś zdobyliśmy. A paliło się czym tylko: krowim nawozem, resztkami buraków, wyciągało się deski z pryczy.

Mogliśmy kupować w sklepiku wiejskim chleb. Na pracujących - 600 gramów, na niepracujących - 400. Czasami była sól (w wielkich szarych kamieniach, taka jaką się daje bydłu), czasami świeże i zaparki. Bo przecież elektryczności nie było. Mieliśmy też zezwolenie, by raz na tydzień chodzić na targ do Rubcowki.

Tam wymienialiśmy nasze lepsze ubrania na chleb, na mąkę, ziemniaki, kukurydzę, kumys (ten był bardzo drogi). Miejscowym wolno było trzymać jedną krowę na rodzinę. Z tym, że musieli płacić podatek w mleku i mięsie, jeśli był cielak. Kupowało się więc mleko i masło.

Od Kazachów kupowało się czasami kurdiuki, czyli ogony ze specjalnego gatunku baranów. Na tych ogonach była wielka kula tłuszczu. Z tego robiliśmy sobie smalec. Dobry kurdiuk ważył około puda, czyli 16 kilo.

Miejscowi dostawali przepustki do najbliższego miasteczka, a nawet do Semipalatynska, skąd przywozili różne rzeczy (na przykład walonki) i handlowali nimi na targu. Ale nam takich przepustek nie dawali, a bez nich nie można się było ruszyć, bo ci z niebieskimi otokami (enkawudysci) bardzo pilnowali.

Ciągle ganiłi nas na zebrania (obecność obowiązkowa), które prowadził miejscowy politruk. Na tych zebraniach kobiety zwykle narzucały się, ciągle o coś prosiły. A ojciec mój, który świetnie znał rosyjski, pyskował. I o dziwo szanowali go za to.

Za naszą pracę płacili nam nawet, w zależności od wyrobionej normy. Uczciwie nie można jej było wyrobić, ale my z Lolkim wyrabialiśmy po 150 %. Na przykład przy stertowaniu siana. Mieliśmy swoje sposoby, które jednak zawodziły, gdy musieliśmy pracować z przydzielonym nam miejscowym Rosjaninem. żeby wyrobić normę, podający siano z dołu musiał przetrzucić 5 ton, a ten, który odbierał - 10. Stóg powinien mieć około 5 metrów wysokości. Gdy był gotowy, przychodził agronom, przetrzucał sznur przez wierzch, mierzył potem obwód i obliczał tonaż. A nasze stogi po prostu były wewnątrz puste.

Mieliśmy też swoje metody przekraczania normy przy kopaniu rowów do przechowywania buraków.

Pracowaliśmy często z Ruskimi. Gdy był z nami jeden, to nieraz się zgadzał. Pamiętam jak kiedyś mówiliśmy, że chcemy iść do wojska, bić Niemca. A na to Rosjanin: "A po co? Niech przyjdzie Niemiec. Najpierw trzeba bić tych!" Ale gdy zjawiał się drugi Rosjanin, tamten milkł.

Kiedyś miejscowy Rosjanin przyłapał nas na kradzieży grochu z kolchozowego pola. I rozgadał się: "Jaki ja byłem głupi, że poszedłem

na rewolucję. Miałem konie, krowy, barany, a teraz..."

Można więc było pogadać z Ruskimi, ale było niestety kilka kobiet, które natarczywie podlizywały się im i kilka takich, które nawet się rajdaczyły. To zrozumiałe. Były samotne, zagubione, bez oparcia.

Macocho, gdyby nie była z nami, przecież zginęłaby. Nie umiała nic, niezaradna, nie przyzwyczajona do pracy, nawet w gospodarstwie.

Z Kazachami nawiązywaliśmy kontakty głównie handlowe. Było też w Rubcowce wiele kobiet wywiezionych w 1936 roku z Ukrainy (mężczyzn z ich wsi zesłano wtedy oczywiście gdzie indziej). Ale z nimi nie stykaliśmy się.

Nie odczuwaliśmy terroru. Nękały nas tylko zmęczenie, upały i potworne ilości tarantul, które w okresie letnim są szczególnie jadowite.

W zasadzie nie byliśmy pilnowani. Po prostu nie było jak uciekać. Dookoła tylko step, żadnej szosy. Pociąg przejeżdżał tak szybko, że nie dało się wskoczyć.

Jedną była droga ucieczki, do której ten i ów się szykował a wiodła przez Afganistan do Indii. Ale nikt od nas nie poszedł tamtędy, bo już ogłoszono amnestię.

W październiku zdecydowaliśmy - wszyscy z Rubcowki i sąsiednich posiadłości wynająć sobie pociąg. Zajmowała się tym nasza "starszyczna": mój ojciec, pułkownik zaba i inni. Zebrali pieniądze, opłacili kolejarzy, ale nie zawieźli nas, jak chcieliśmy, prosto do Kujbyszewa, tylko gdzieś na południe - przez Aima-Atę i Dolinę Fergańską. Dość długo braliśmy się zanim pod koniec listopada 1941 dotarliśmy do naszego wojska w Tocku.